

**R**ZECZ dzieje się naturalnie w Krakowie. Bo gdzieś indziej historia taka zdarzyć by się mogła. Właśnie: zastanawiałem się czy jest to sprawa jednostkowa, czy też może (mogła) mieć swoje kalki. Konkluzja — jeśli nawet jest powtarzalna, to oczywiście tylko w Krakowie. A oto fabuła: dwie starszawo mocno panie z tzw. „lepszych sfer” obrazły się na kierunek, z którego przyszła wolność. Także na przemiany, które w wyniku tego wyzwolenia nastąpiły. Odtóżowały się od zewnętrznego świata, przez ileś tam lat ignorując wszystko, co się za oknami dzieje. Nawet wiosnę, bo była to wiosna komunistyczna.

Jest to na pewno temat na felieton. Także na reportaż. Udowodnił to przecież Kąkolowski. Ale on reportaż zrobić potrafi z każdego materiału. W sensie teatralnym jest to temat — w najlepszym wypadku — na jednoaktówkę w manierze „koczanego pana Ionesco” może zresztą Becketta.

Wdzięczny absolwent Szkoły Teatralnej napisał przecież sztukę pełnospektaklową, z myślą o dwu — bardzo zresztą wybitnych — Paniach Profesorkach. Że zaś obie preferują raczej „styl psychologiczny” w teatrze, zagłębiać się zaczął nasz autor w „dusznych” wwiśsekcjach. I Panie Profesorki zagrały w tej sztuce. I widowisko przywieziono, na któryś z wrocławskich festiwałów. I przeszło bez echa.

Kiedy więc po latach Teatr Współczesny zapowiadał „Non stop” na jedno już tylko czekać było można. Na cud. I cud się nie zdarzył. Czuły to bowiem mają do siebie, że „zdarzają się tylko raz”, i to nigdy na zawołanie. Najczęściej zresztą w Lourdes, albo w Częstochowie, rzadziej we Wrocławiu.

Nic, ale to nic, w roku 1976, nią obchodzi mnie babranie się w chorobliwej jaźni krakowskich starszulek. Nawet wówczas, gdy uwierzę psychiatrom, że nikt z nas nie jest do końca „normalny”. Nienormalność obu panieś jest na tyle kuriozalna, że przestaje być interesująca.

Czy można sztukę uratować? Chyba tylko grając ją wbrew tekstowi, a więc na zasadzie ostrej groteski. Chyba tylko wówczas, gdy wyobcuje się ją z realiów i zapropnuje coś w rodzaju „Koficowki”. Podskórnie akcenty takie gdzieś tkwią chyba. Bardzo jednak porśkórnie i Halina Dzieduszycka miała prawo tego nie dostrzec. Choć kto wie czy właśnie Dzieduszycka nie mogła zrobić zabawnej komedii. Komedii to ona czuje.

Zamiast tego otrzymaliśmy dramę psychologiczną i duszoszczepielną. I nawet dekoracje Kazimierza Wiśniaka były jakby do innego przedstawienia. Rama dekoracji z oleodrukiem pt. „Gorące Serce Chrystusa” w porządku. Jeśli już jednak spadają najęczyńskie niechże się w nich aktorki taplają, niech się o nie potykają, niech się wreszcie — jak muchy — łapią. Zawieszenie „firanczek” z góry nic nie daje. Albo dlaczego — kostiumem — uczyniono Młodszą, rezydentką. W sztuce konflikt nie w „roźnicach stanowych”, ale w tym, że jedna chłopca miała, a druga nie. I jest to znacznie ciekawsze. A na marginesie: w autorskim egzemplarzu, na prapremierze, panie miały swoje imiona. Tu określają je słowa „Młodsza” — „Starsza”. Fatalna próba uniwersalizacji.

Rzekło się już, że „Non stop” jest sztuką na dwie aktorki. We Wrocławiu zagrały Maria Zbyszewska i Genia Wydrych. Obie w teatrze sporo pograć mogą, nie zagrały jeszcze wielu ról o dwadzieścia — co najmniej — lat, „młodszych”. Obie także potwierdziły to, o czym wiemy już doskonale. Pierwsza, że jest znakomitą, kto wie czy nie jedną z najznakomitszych w naszych czasach — tragiczną, druga, że posiada bogate wnętrze — „gietki warsztat” i szeroką skalę aktorskich możliwości. Tylko czy dlatego trzeba było grać „Non stop”?

Teatr Współczesny we Wrocławiu. Maciej Zenon Bordowicz „Non stop”. Reżyseria Halina Dzieduszycka. Scenografia Kazimierz Wiśniak. Opracowanie muzyczne Mirosław Jastrzębski. Premiera prasa 11. I. 1976 r.